

Krzesimir Dębski. Od jazzu do symfonii, od gimnastyki szwedzkiej do tenisa

maciej · 10 sierpnia, 2024



Z kompozytorem i dyrygentem, skrzypkiem jazzowym i pianistą, Krzesimirem Dębskim, o muzyce, sporcie w tym oczywiście o tenisie, a także o tym, jak ważna jest historyczna prawda, rozmawia Kamilla Placko-Wozińska.



– Przyznam, że kiedyś było z tym łatwiej, dziś trochę się męczę z tym przeskakiwaniem od pisania piosenki po oratorium i jazz, ale nadal to robię – tłumaczy Krzesimir Dębski. Fot. Archiwum prywatne K. Dębski

Spotykamy się w poznańskim Centrum Sportu i Rozrywki fairPlayce, czyli miejscu, które łączy Pana i dwie pasje. O pańskich muzycznych dokonaniach wiemy sporo, a jak jest z tym sportem?

– Gdy studiowałem w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu, uczelnia ta była równocześnie miejscem tortur dla studentów. Wuefy mieliśmy w szkole na Berwińskiego o... szóstej rano. O tej godzinie dr Grus zamykał salę. Jeśli ktoś nie zdążył, miał nieobecność, a za trzy groziło wyrzucenie za studiów i tak się zdarzało.

Od szóstej rano ćwiczyliśmy więc sporty, niestety, nie była to gra w kosza czy coś atrakcyjnego, a gimnastyka szwedzka. Nawet dla mnie, który od dziecka był ruchliwy i zawsze coś uprawiał, była to – jak i dla wszystkich studentów – mordęga. Ale przeszliśmy tę szkołę dyscypliny i może to w życiu pomogło.

A jak od tej gimnastyki do tenisa?

– Stale szukałem czegoś dla siebie, potrzebowałem ruchu. Między innymi w lidze szkół wyższych reprezentowałem uczelnię w koszykówce, żeby było śmieszniej przy moim 1,85 m wzrostu byłem najwyższy w drużynie, a graliśmy na przykład mecze z drużyną AWF-u, w której grali ponad dwumetrowi reprezentanci Polski. Przegrywaliśmy tak 60 do 12, a te dwanaście punktów zdobywał nasz trener.

Mimo tych wariackich sytuacji ten sport gdzieś mnie tam ganiał, były konie, nawet je miałem, wiosłowałem, no i rower jest cały czas.

A tenis? Oczywiście pojawił się w Poznaniu na fali sukcesów Wojciecha Fibaka, wszyscy wtedy chcieli grać. Miałem rakietę Polonez, która właściwie nie nadawała się do niczego. Grałem na różnych kortach, pobierałem lekcje, miałem takich trochę samozwańczych instruktorów.

I tak się stało, że jestem teraz tutaj, w poznańskim ośrodku fairPlayce, cieszę się, że jest takie miejsce, że takie rzeczy się dzieją. Już tu grałem, w hali, z szefem Kubą Rękosiem.



Form Follows *Fun*
Introducing the all new MUSE



I po tym sparingu Jakub Rękoś powiedział, że i na korcie jest Pan wirtuozem, ma świetny timing...

– No, trochę się tam jakoś ruszałem... W każdym razie cieszę się, że ośrodek fairPlayce się rozbudowuje. Jak się coś buduje, to się serce raduje.

Przyjechał Pan do Poznania głównie w sprawach sztuki.

– Graliśmy nasze utwory z czterdziestu lat i całkiem nowe. Utwory, które, jak się okazało, mają stale nowe życie. Takie czasy nastały. Ze String Connection nagrywaliśmy płyty z tysiącami nut i taktów. Bardzo to były skomplikowane rzeczy, a teraz młodzieży wystarczy cztery takty, albo i dwa, zapętłają to tak, dodają du, du i mają. Dodam, że to nasze takty. Żerują na naszych utworach, dodając swoje wartości, mianowicie teksty. Mogę dokładnie wskazać, który kawałek z którego String Connection został „skradziony”.

I tak na przykład nawet Peja stał się naszym klientem. Podaliśmy go do sądu o plagiat, że za te cztery „pożyczone” od nas takty trzeba zapłacić. Wyszło nawet tak, że moja żona (Anna Jurkiewicz – przyp. red.) została... chórzystką Pei, bo jej refren sobie wycieli. Za to też, o ile pamiętam, dostała pieniądze. A taki O.S.T.R. „pożyczył” nawet moje solo na skrzypcach, więc jestem już też skrzypkiem hip-hopowym. To takie śmieszne, że stare utwory w nowych postaciach stają się przebojami.

Mój syn, Radzimir, też zajmuje się hip-hopem, na jego koncert w Chorzowie sprzedali 60 tysięcy biletów. A mój skromny udział też tam jest...

Poszerzył więc Pan jeszcze ten wachlarz wszechstronności... No właśnie, jak to jest, tu pisze Pan piosenkę, za chwilę oratorium, symfonię, potem muzykę do filmu, no i jazz. Można się tak przedstawiać?



– Przyznam, że kiedyś było z tym łatwiej, dziś trochę się męczę z tym przeskakiwaniem, ale nadal to robię.

Niektóre rzeczy się przenikają, niektóre później stają się kolejnymi tematami. Tak zresztą robili wielcy mistrzowie i trochę się cieszę, że może do nich nawiązuję. Przenosili te same pomysły do innych utworów. Takimi sprawami, z dzisiejszego punktu widzenia, można rzec, że niecnymi, zajmował się sam Jan Sebastian Bach. Fragment jednej kantaty przenosił do drugiej.

Może i u mnie tak troszeczkę jest. Niektóre tematy filmowe później rozwijałem i stawały się one tematem symfonii na przykład. To naturalne, że się widzi, że temat ma potencjał i można go rozwinąć w innym formacie. Tak się zdarzało w moim życiu i ostatnio też odezwała mi się ta nutka wygodnictwa.

Wspomniał Pan o muzyce filmowej. Nie miał Pan żalu do Wojciecha Smarzowskiego, że to nie Pan robił muzykę do „Wołynia”? To przecież bardzo bliski Panu temat, tragiczną historię swojej rodziny opisał w książce „Nic nie jest w porządku”.

– Rzeczywiście, mam pochodzenie wołyńskie i gdy się dowiedziałem, że powstanie film, umówiłem się ze Smarzowskim. Nie w celu napisania muzyki jednak, ale chciałem zobaczyć, czy Smarzowski wie, jaki to jest temat, bo wiedza o Wołyniu nadal jest w Polsce mała. Reżyser pochodzi ze Śląska, zastanawiałem się więc, co człowiek stamtąd może wiedzieć o rzezi wołyńskiej. Byłem miło zaskoczony, bo okazało się, że Smarzowski fantastycznie odrobił swoją pracę i był doskonale zorientowany. A w przedpokoju czekali też lobbyści ukraińscy, którzy chcieli swoje racje tam przemycać, oskarżać nas o ludobójstwo, kiedy to było odwrotnie.

27 Dywizja Wołyńska, w której byli moi rodzice, liczyła 4-5 tysięcy osób, w większości cywili. Były tam kobiety z dziećmi, staruszkowie...

I Pański ojciec bez nogi, amputowanej wskutek ran odniesionych w kościele, gdzie Polacy bronili się przed Ukraińcami.

– No właśnie, nie była to jakaś specjalna siła, Wcześniej przecież była sowiecka okupacja, gdy wywożono z Wołynia Polaków, a szczególnie mężczyzn, na Syberię.

A UPA miała 60 tysięcy ludzi. Była to więc duża dysproporcja, a nie, jak chcą niektórzy, symetryczne walki, w których jedni i drudzy mieli coś na sumieniu.

Smarzowski o tym wszystkim wiedział, znakomicie przygotował się do filmu. A muzyka? Na pewno z żalem myślałem, że to nie ja ją zrobię. Film właściwie nie ma muzyki, a dźwięki, ponure tło. Pewnie można było zrobić piękną kompozycję do „Wołynia”, ale z drugiej strony trzeba się zastanowić, czy gdyby tam była pełnokrwista muzyka filmowa z orkiestrą, czy nie byłoby to zbyt musicalowe, spłycone. Może rzeczywiście cisza jest lepsza.

A co Pan czuje teraz, gdy znaleźliśmy się w zupełnie nowej sytuacji, od ponad dwóch lat żyjemy razem w Ukraińcami, którzy uciekli przed wojną?

– Spotykam bardzo wielu Ukraińców, niestety, widać przejawy nacjonalizmu. Na przykład w akademikach w Warszawie, gdzie mieszkają ukraińscy studenci, w oknach były wystawione portrety Bandery. Na szczęście teraz tylko niewielka część ukraińskiego narodu jest zwolennikiem UPA, większość nic nie wie, a jak się dowiaduje, to tę historię wypiera. Niestety, koalicyjny rząd ukraiński oddał najmniej ważne resorty partiom najniżej notowanym, czyli postbanderowskim. I tak dostali oświatę. Drukują więc podręczniki własnego

pomysłu, gdzie się Banderę gloryfikuje. W Ukrainie stoją pomniki banderowskich przywódców, główne ulice w miastach nazywają alejami UPA, choćby w Kijowie, w którym banderowiec to był kiedyś najgorszy epitet, bo wiedzieli, że to byli nacjonaści, którzy mordowali, także swoich, gdy ci nie chcieli mordować. No i gdy oglądamy migawki z frontu, widzimy niektórych bojowników z banderowskimi naszywkami.



Krzysztof Dębski. Fot. www.teatr Wielki.pl

Mówił Pan kilka lat temu, że jeździ do Ukrainy nie tylko koncertować, ale i uświadamiać.

– Tak, uświadamiać, mówić, żeby wiedzieli. Jeżdżę w Warszawie taksówkami, a gdy spotkam ukraińskiego kierowcę, wypytuję, co wiedzą o Wołyniu. Okazuje się, że nic. A gdy się dowiadują, są oburzeni, mówią, że to nieprawda. Myślę, że to jest bardzo niebezpieczne, że powinniśmy gwałtownie wydawać pisma, podręczniki, także w języku ukraińskim.

KANWA
APARTAMENTY

ZAMOYSKIEGO 24/26
WARSZAWA

PRZESTRZEŃ, KTÓRĄ TWORZYSZ
Apartamenty na warszawskiej Pradze
z widokiem na Jezioro Kamionkowskie

SPRAWDŹ OFERTĘ →

Może tak się nie dzieje wskutek wojny? Władze nie chcą wzbudzać antyukraińskich nastrojów.

– Nawet, gdy jest wojna, to ważne, żeby się prawda przebiła, bo gloryfikowanie UPA i nacjonalizmu jest na rękę Putinowi. Korzysta z tego. Jego propaganda mówi, że taka właśnie jest cała Ukraina – nacjonalistyczna

i faszystowska.

Sytuacja jest trudna, ale mimo wszystko trzeba uświadamiać. My mamy w Polsce też niełatwą, wojenną historię – antysemityzm, policja polska, szmalcownictwo...

I też to wypieramy...

– Tak, niektórzy chcą to całkiem wymazać. Mówmy sobie prawdę, że byli tacy, co pomagali, tracąc nawet życie, i tacy, którzy dla paru groszy robili największe świństwa. Wypieranie się powoduje tylko większe zakłamanie. W wielu krajach były podobne sytuacje, ale tam raczej mówi się też o tych niechlubnych, choćby po to, żeby się nie powtórzyły.

„Nic nie jest w porządku” to Pana pierwsza książka. Kilka lat temu zapowiadał kolejną, historię głupoty polskiej i jakoś o niej nie słychać. Powstanie?

– Mam już nawet prawie napisaną, ale ta głupota tak galopuje, że nie nadążam spisywać i analizować. Mam dużo pracy kompozytorskiej, ale jak będzie trochę czasu, usiądę, żeby to wszystko podsumować. Książka będzie o tym, jak to się stało, że taki naród jak nasz, tak zgłupiał...

czytaj też: [Wiktor Zborowski: Byliśmy takim „fibakowym pomiotem”](#)

Rozmawiała Kamilla Placko-Wozińska



Czytaj online i udostępnij:

<https://tenismagazyn.pl/krzesimir-debski-od-jazzu-do-symfonii-od-gimnastyki-szwedzkiej-do-tenisa/>